

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11. tel. 240-15.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1. mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za od-
[nie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.
Z przesyłką pocztową w granicach pań-
stwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50,
kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80.
Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor.
rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20
w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą
wprost do Administracji Krakowskie-
Przedmieście 64 w Warszawie księgar-
nia „Polaka - Katolika“.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne“ za kwartał I i II.

TREŚĆ NUMERU:

Sila woli. — Listy z zagranicy, przez Marynię Wielkopolanę. — Na zbożnych polach, przez Marię Poraską. — Wielogłowi bogowie słowiańscy, przez Helenę Bojarską. — Nigdy, przez Z. Morawską. — Nad złotym rogiem (z 1 ilustr.), przez Stanisława Belzę. — Próba samochodów (z 1 ilustr.). — Tajemniczy samolot, przez Kap. Brereton. — Wojna na Bałkanach (z 1 ilustr.). — Przebojem, przez Józefa Ciembroniewicza. — Skrzynka do listów. — DODATEK DLA DZIECI: Wodospad Niagara (z 1 ilustr.), — Siedmiogięzna niedźwiedzica. — Lato, przez Stanisława Belzę. — Opowiadanie motylka.



REWOLUCJA.

Niedługo Chiny cieszyły się, po usunięciu dy-
nastji mandżurskiej, pokojem, korzyściami nowej for-
my rządu, pracą kulturalną, cywilizowaniem narodu.
Nie do wszystkich warstw widocznie doszły owoce
tego pomyślnego przewrotu. Od pewnego czasu,
mieszkańcy południowych prowincji zdradzali niez-
adowolone z nowego stanu rzeczy i podbudzani po-
dobno przez japońskich emisariuszów, ogłosili innego
prezydenta, wystąpiwszy zbrojnie przeciwko regular-
nym wojskom. Forty Szanghaju są w rękach po-
wstańców, oraz kilka okrętów wojennych; w Nankinie
położenie jest również groźne. Obrany prezydent, za-
ciekły wróg Juanszikaja, mianował już swoich mini-
strów i wydał odezwę, w której ogłasza, że Kanton
odmawia posłuszeństwa naczelnikowi rzeczypospolitej,
gdyż tenże prowadzi ją do zguby. Słynnego Sunjat-
sena, krzewiciela postępu i wolności w Chinach, partja
rewolucyjna chciała przeciągnąć na swoją stronę, ale
zamiar wcale się nie udał. Jeżeli władze prawowite
zamietu tego nie opanują, buntu w początkach nie
uśmierzą, cały, wielki kraj narażonym zostanie na
najgorszą ze wszystkich, wojnę domową.

KONGRES POKOJU.

Jakby na urągowisko nieustającym walkom mię-
dzy Słowianami, i Turcją; które z punktu słusznego
i obronnego, przechodzą w zaczepny i barbarzyński,
liczne stowarzyszenia miłośników pokoju zwołały na
początek przyszłego miesiąca kongres powszechny.
Ludzie, którzy potępiają bezużyteczny rozlew krwi

i wszelkie okropności wojny, będą obradowali (jak
dotąd również bezużytecznie) nad środkami, mogący-
mi doprowadzić do załatwienia sporów, zatargów
i uraz międzynarodowych na drodze wzajemnego po-
rozumienia. Od kilku lat miasto Haga, jako na neu-
tralnym gruncie, służy za miejsce do tych zjazdów,
narad i uchwał. Może tegoroczny kongres (czego życzyć
należy) lepsze od poprzednich przyniesie rezultaty.

TROCHE STATYSTYKI.

Z pewnych, urzędowych źródeł dowiadujemy się
o obecnej ilości mieszkańców państwa rosyjskiego
i liczebnym ich stosunku do siebie; jestto rzecz, która
i nas dotyczy, a zatem interesować powinna.

Według ostatniego spisu, ludność na całym obsza-
rze Rosji wynosi już 171 milionów głów; od roku
1897 wzrosła o 42 miliony, przewyższa o szesnaście
m. zaludnienie Niemiec, Austro-Węgier i Francji ra-
zem wziętych. W miastach więcej jest mężczyzn (ró-
żnica 400.000), po wsiach kobiety przeważają o 600.000
z górą. Do wyjątków należą tylko: Warszawa i mia-
sta finlandzkie, gdzie płeć żeńska bywa liczniejszą.
Rosjanie stanowią 65% ludności, turcy i tatarzy 10.6%,
polacy 6.2%, finlandczycy 4.6%, żydzi 3.9%, litwini
2.4%, niemcy 1.6%. Pomimo rozgałęzienia się prze-
mysłowego na 1,000 mieszkańców jest 771 włóścian,
a 107 zaledwie mieszczan. Stan szlachecki przedsta-
wia liczbę 15 osób w tysiącu i na jeden też tysiąc
przypada 229 ludzi umiejących czytać i pisać. Ro-
botników fabrycznych jest wielka cyfra: 2,068,032.
Podatki rozdzielone są w ten sposób, iż każdy czło-
wiek płaci 16 rb. rocznie.

W Anglii zrobiono przed paru tygodniami próbe nowego przyrządu, w rodzaju gramofonu, nazwanego stenoforem. Stenofor pracuje za pomocą ścieśnionego powietrza; wynalazca zastosował w nim zwyczajne płyty gramfonowe, ale różnica polega jeszcze na tem, iż ów olbrzymi instrument odznacza się nadzwyczajną siłą dźwięków, które rozlegają się bardzo wyraźnie w przestrzeni kilku mil dokoła.

Z A P I S Y.

Wychowawcy b. Szkoły Głównej, która wydała wielu światłych i zacnych obywateli kraju, postanowili ostatni — w nader zmniejszonej już liczbie członków — zjazd swój w Warszawie upamiętnić ofiarą na rzecz dobra publicznego. W ich więc imieniu sporządzono akt darowizny. Mocą którego Tow. naukowe warszawskie otrzymało kapitał 25,000 rb. Procenty od tego wieczystego funduszu przeznaczone zostały na badania i prace naukowe, wykonywane pod kierunkiem tegoż Towarzystwa.

Zmarły przed kilku laty Józef Dłużewski, obywatel ziemski, przeznaczył w testamencie rb. 50,000, jako fundusz żelazny, do rozporządzenia instytucji Kredytowej ziemskiej. Odsetki od tej sumy mają służyć na zapomogę dla tych ziemian, których własność obciążona jest zaległymi długami w Tow. Kr., albo na sprzedaż już wystawiona.

Obyż więcej takich ofiar przybywało! Ludzie, pracujący na roli z wysiłkiem a często beznadziejnie, nie tracili by gruntu pod nogami.

.....

Losy okrętu wojennego.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne straszny cios, jaki dotknął flotę rosyjską pod Port Arturem, gdy podczas jednej z drobnych utarczek morskich pancernik „Pietropawłowski“ najechał na japońską minę, wyleciał w powietrze i w ciągu paru minut pograżył się wraz z całą prawie załogą w głębinach oceanu. Razem z załogą zginął wówczas Makarew, chluba i nadzieja floty rosyjskiej, mąż, po którym spodziewano się wielkich dzieł; znany malarz Wereszczagin znalazł również wtedy śmierć w oceanie.

I oto teraz po ośmiu latach znów tragedia owa przypomina się ludzkości. Mianowicie rząd japoński sprzedał swego czasu szczątki „Pietropawłowska“, leżące w morzu przedsiębiorcy, niejakiemu Sakurajowi za 20,000 jen. Pancernik leżał dnem do góry na głębokości 50 metrów w odległości 2 i pół mil morskich od brzegu, a korpus jego obrósł naturalnie wodoroślami, muszlami i t. d., tak, iż przedsiębiorczy p. Sakuraj miał nielada trud z dostaniem się do wnętrza olbrzyma. Po uciążliwych robotach przygotowawczych nurkowie podłożyli miny pod tylną część okrętu, wyrwali w niej wyłom i dostali się do środka. W kajutach znaleziono szczątki czterech ludzi; osobistość jednego z nich można było ustalić, ponieważ znaleziono przy nim portfel z kartami wizytowymi: były to zwłoki kontradmirała Moiasa. Osobistości pozostałych nie stwierdzono, jedynie z leżącej przy szkieletach broni wnioskują, iż byli to oficerowie. Szkielety, zachowane w morskiej wodzie jako tako wydobyto na ląd i oddano konsulowi rosyjskiemu, który zajął się pogrzebem, przyczem wojsko japońskie oddało honory wojskowe.

P. Sakurajowi głównie idzie o dostanie się do kasy sztabu Makarowa, gdzie ma nadzieję znaleźć półtora miliona rubli.

.....

Czytając „Drużynę“, dwutygodnik młodzieży wiejskiej, można się dowiedzieć nie jednej ciekawej rzeczy.

W ostatnim numerze znajdujemy wezwanie do opieki nad ptakami. Pan Jan Patola pisze:

„Chciałbym wam zalecić opiekę nad ptaszkami, temi sławnymi naszymi ogrodnikami i śpiewakami, czyli poprostu założyć ochronkę dla ptaków, ale niech każdy kolega, posiadający sad owocowy lub ogrody orne, postara się o to, aby zbierać przez lato nasienia przeróżnego, jak na przykład: słonecznika, łopianu, ostu, konopi i t. p., niech to wysuszy i schowa na zimę, a w zimie dopiero gdzieś w zacisznym miejscu sypie ptakom potrochu. Można zbić jakąś skrzynkę z deszczulek z wiekiem u góry i z otworem na boku, aby się tylko ptaszek przez niego zmieścił i taką skrzynkę można zawiesić gdzieś na drzewie i tam im sypać pożywienie. Na lato można budować sztuczne gniazda i zawieszać na drzewach, aby się tam gnieździły. Przyjemnie jest, gdy ptaki wieczorem lub rano zaczynają śpiewać, a tobie się zdaje, że one ci dziękują za tę ochronkę. Niejedni może powie, że na nic taka robota, że się ptaszek nie przyswoi, a ja mówię, że się wam to powiedzie, gdyż ja już przez trzy lata urządzam taką ochronkę u siebie. Więc bracia, zabierzcie się do tego, bo wam się opłaci, gdyż ptaszekowi ulżycie i wam znaczną to korzyść przyniesie.“

.....

Rozmaitości.

Fale upalne.

W obec panującej niepogody pocieszają się zrozpaczeni letnicy wiadomościami, że właśnie w Ameryce szaleją upały i że fala ciepła amerykańskiego wyemigruje niebawem do Europy, przy której to sposobności i nam się cośkolwiek „oberwie“. Otóż jakkolwiek nieładnie jest rozpraszać iluzje jadących na urlop, przecież taka prawda każe wyznać, że „fale upałów“ nie istnieją we właściwym tego słowa znaczeniu. Obok tego należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że fale upałów, wędrując z Ameryki do Europy ponad oceanem Atlantyckim muszą przebyć drogę długości około 7,800 kilometrów, a podczas tej podróży stracić dużo ciepła na rzecz chłodnej stosunkowo wody oceanu. Przybywszy do Europy, fale te już nie mogą wywołać żadnej rewolucji w powietrzu. Jeżeli po upałach w Ameryce nastąpią wkrótce upały w Europie, to powody są inne i jak zapowiadają zaprzysiężeni i domorośli astronomi, pogoda będzie na „p“! — jak tylko... skończy się niepogoda — a ma to już niebawem nastąpić.

Kosztowne obiady.

W Londynie zaczyna wchodzić w modę udzielanie podarków gościom, zaproszonym na obiad. „Pall Mall Gazette“ opowiada o jednym takim przyjęciu. Gdy goście rozłamali bułki, leżące przy każdym nakryciu, znaleźli w nich — srebrne, pięknie cyzelowane wykałaczki. Rosół podano w filiżankach z porcelany serwskiej. Pan domu wstał i oznajmił, że te filiżanki pozwala sobie ofiarować gościom. Wniesiono forele; każda miała w pyszczku bądź szpilkę do krawatu, bądź pierścionek. Pieczone przyniosło damom złote szpileczki, panom bursztynowe cygarniczki. W leguminie były flakoniki z kosztownymi perfumami, owoce podano na złotych talerzykach, z monogramami każdego z gości. Zbytecznym dodawać, iż wszyscy rozjechali się, zadowoleni z przyjęcia. Jeśli ta moda zaszczepi się wydanie „najskromniejszego“ śniadania będzie dostępne tylko dla milionerów.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

SILA WOLI

Z FOERSTERA, OPRACOWAŁA WŁ. N.

Gdy pewnego myśliciela starożytnego na łożu śmierci zagadnięto, co czynić, aby osiągnąć zbawienie, odrzekł krótko: „Chcieć“! Jak bezsilnymi bowiem są wszystkie nasze entuzjastyczne zamiary, gdy brak nam wielkiej skupionej stanowczości, którą zwiemy wolą. Całe bogactwo i oryginalność zdolności naszych chaos jedynie wytwarzają, o ile na pomoc nie przyjdzie spójnia silnej woli. Tylko siła woli daje nam zwycięską energję jedynie zdolną ochronić nas przed naciskiem zewnętrznego świata.

Lekarze chorób nerwowych baczna zwracają uwagę na nieszczęsne skutki braku kształcenia woli. Tłumaczą nam, że i ludzie zdrowi muszą wpaść w chorobę, skoro ich organizm na łaskę i niełaskę własnych ciemnych instynktów zostawionym będzie.

A nieocenioną wprost doniosłość ma kształcenie woli w kwestji powodzenia w przyszłym życiu zawodowym, w sprawie harmonji i zgody z otoczeniem, w rozwinięciu poczucia wewnętrznej niezależności i istotnej godności ludzkiej.

We wszystkich naszych pracach i czynnościach codziennych mamy wiele sposobności do wzmocnienia woli, lecz zarazem niewątpliwie nie mało pokus ku rozproszeniu i osłabieniu naszej energii. Wszystko zależy od sposobu wykonania danego zatrudnienia, od tego, cośmy sobie postanowili. Albo bowiem przyzwyczajamy się do tego, że przy pierwszej przeciwności, lub zmęczeniu skłonni jesteśmy złożyć broń, albo też siła nasza przejawia się tem potężniej, im większe piętrzą się przed nią przeszkody i zapory.

Charakter kształci się przez najprostsze właśnie i najdrobniejsze czynności naszego codziennego życia. Wielkie zamiary pełnienia wzniosłych cnót mało znaczą; charakter wyrabia się przy najprostszych i najmniej skomplikowanych czynnościach.

Nieugiętość charakteru poznaje się nie w święto, a w dzień powszedni; święto może nam zesłać natchnienie, lecz tylko dzień powszedni zawiera w sobie moc przelania go w życie.

Jeśli kto z was wykryje w sobie skłonność do niedbalstwa i powierzchowności, a pragnie tym bra-

kom zapobiedz, nie powinien przewycięzać się w rzeczach dla siebie najtrudniejszych, lecz winien zastanowić się, czy nie odczuwa szczerzego zainteresowania bądź to do rysunków, malarstwa, obcych języków, bądź to do ogrodnictwa, gospodarstwa domowego, jakiego rzemiosła, lub pielęgniarstwa. Zdolność tę i upodobanie należy wyzyskać i w danym kierunku się wydoskonalic. Trzeba się starać o doprowadzenie tej zdolności do mistrzostwa i być przy tem tak starannym i sumiennym w pracy, aby w końcu wytrwałość i sumiennosc stały się niemal nałogiem. Wtedy się przekonamy, że zadowolenie z pracy bez zarzutu wzmocni naszą sprężystość i we wszystkich innych kierunkach i zrozumiemy zdanie:

„Nigdy już nie odstąpi od sumiennosci ten, kto raz z jej źródła skosztował“.

Prócz sumiennosci w pracy, dla wzmocnienia naszej woli i prawidłowego rozwoju charakteru, należy zwłaszcza w młodości zwrócić baczna uwagę na słownosc i punktualność.

Jakże wielu ludzi daje się rządzić w życiu przez przypadek, odstępując od swych zamiarów. Silne charaktery mają wrodzone poczucie właściwego im w życiu kierunku, ale i charaktery słabe mogą nabyć dużo odporności względem przeszkód zewnętrznych, o ile potrafią wyzyskać kształcący wpływ drobnostek w życiu; szczególnie punktualność jest w tym względzie nader skuteczną.

Naturalnie uniewinnic się potrafimy zawsze, lecz żadna wymówka nie istnieje dla tego, kto naprawdę chce być punktualnym. Zostawi sobie chwilę na nieprzewidziane przeszkody, oderwie się bezwzględnie od swej pracy, lektury, rozmowy, lub wypoczynku, skoro już czas nie do tego, lecz do następnego z kolei zatrudnienia należy. Pożegna uprzejmie, lecz stanowczo swego gościa, serdecznie, ale szybko wywiąże się ze spotkań na ulicy i tak wszystko potrafi urządzać, aby nie paść ofiarą niespodzianych przeszkód; urwanych guzików, zgubionej rękawiczki, lub poplamionego ubrania. Dopiero ten, kto się w punktualność pocznie wprawiać, spostrzeże jak zbawiennie oddziaływa ona

na napięcie naszej woli, tudzież na rozwój tak nieznanie waszych cnót społecznych jest słowność i wierność danym obietnicom, czyniąc nas godnymi zaufania.

Chcąc rozwinąć siłę woli, należy również strzedz się zapominania, świadczy ono bowiem o ospałości duchowej, o biernem poddaniu się przypadkowi i rzuca na charakter światło niedbalstwa i niesumienności. A przecież wyleczyć się z zapomnienia można, należy tylko chcieć tego, to jest poświęcić parę tygodni wzmocnieniu pamięci, nie przeciążając jej, bo wdrażając się w pamiętaniu o pewnych zamiarach i obowiązkach z całą energią umysłu. Znać swe sumienie do wykazania całej jego obowiązkowości na owych drobnostkach właśnie. Stawiaj sobie małe wymagania np. uporządkować rzeczy, przeczytać jakiś rozdział, napisać jaki list.

Ćwiczenie się w odporności względem pobudek wewnętrznych i zewnętrznych, jest innego rodzaju hartem woli, niż energiczna a wytrwała działalność. Istnieją bowiem bardzo cierpliwi ludzie, którzy jednak nie potrafią panować nad sobą.

Być „panem w swym domu“, osiągnąć karność ducha i odwagę wobec własnej natury: oto nasze żądanie.

Francuski pedagog Tayok twierdzi słusznie, że my współcześni, oduczyliśmy się „techniki woli“ i zaleca młodzieży nadewszystko owe drobne ćwiczenia ascetyczne, ową przygodną wstrzeźliwość nawet w tem co jest dozwolone i nieszkodliwe, ćwiczenia, które się przyczyniają najbardziej do wzmocnienia naszej woli wobec siły popędów i pobudek zewnętrznych. Dlatego również Bossuet główny nacisk kładzie przy samowychowaniu na te „drobne poświęcenia, które nam przyczyniają najdotkliwsze przykrości“.

Jednym z najbardziej pomocnych środków, do panowania nad sobą wiodących, jest niewątpliwie milczenie.

Zacząć od tego, aby mózdz spokojnie i życzliwie wysłuchać sprzecznego z naszym zdania, nie zaś chcieć je natychmiast atakować i obalać.

Czynić to nie dlatego, aby o niem na zawsze zamilczeć, tylko aby po dokładnem wysłuchaniu wystąpić przeciw niemu tak, aby zwyciężyć i przekonać. A przekonanie możemy tylko tego, czyje dowody istotnie i bezstronnie poznaliśmy.

Lub może zostaniemy pokonani?.. Kto nie potrafi słuchać bez natychmiastowego zaprzeczenia, pozostanie na zawsze ciasnym krótkowidzem.

Szczególniej pilnie ćwiczyć się należy w tym, co się zowie dyskrecją, w bezwzględnem milczeniu o zawierzonych nam tajemnicach, o faktach, które doszły do naszej wiadomości tylko w drodze szczególnego zaufania, wyjaśnienie których sprawiło by innym zmartwienie, a nawet zaszkodziłoby im, lub wystawiło ich w błędnem świetle.

Dla wyrobienia w sobie męskości mało jest skuteczniejszych i bardziej rozwijających godność męską środków nad energiczną walkę z gadatliwością i niema

mocy stosowniejszej i bardziej niezbędnej dla najgłębszej kobiecości nad połączenie daru słowa z miłością i rozwagą.

Istnieją bowiem nietylko zewnętrzne, lecz i wewnętrzne pokusy do nieopatrznej mowy, stanowiące zarazem znakomitą sposobność do samowychowania: jako to: przyjemność dowcipkowania i żartowania, pochodzącą z dostatniego i wygodnego życia, złośliwość, lub próżnująca wyobraźnia. Wdrażanie się w zamilczanie takich dowcipnych pomysłów i humorystycznych wyobrażeń jest bardzo trudnym i owocnym ćwiczeniem woli i tem pożyteczniejszem dla charakteru, im więcej zużytkujemy to dzielnie wywalczone milczenie na to, aby się uważniej przyjrzeć naszemu dowcipowi.

d. n.



Portret mężczyzny.



Lato.

Między młodymi malarzami polskimi w Paryżu zwraca uwagę na siebie p. Jan Trzaska, którego obrazy zaliczone są do najciekawszych, jakie oglądano w tym roku na wystawach paryskich.

Chcąc dać poznać polskim czytelnikom prace młodego malarza, podajemy powyżej fotografie dwóch jego obrazów.

Listy z zagranicy.

I.

Z WYBRZEŻA BELGJI.

Wszystkim naszym Stachom, Halinkom, Jankom, Janinkom, i t. p. zazdrościmy tutaj wody! Wody naszej zimnej, zdrojowej.

To ironia, prawda? Nad morzem zazdrościć wody!

A jednak tak jest: zazdrościmy wam wody naszej czystej, polskiej wody!

Morska, jak wiecie, jest mętna, słona i niezdrowa, a ze studzien tutejszych taka niesmaczna i ciepła, że nawet miejscowi jej nie pijają. Budek z wodą sodową tu niema wcale, a w restauracjach szklanka wody sodowej taka jak u nas za 4 grosze, kosztuje przeszło złotówkę, w pierwszorzędnym zakładach dwa razy tyle.

Przy obiedzie potraw podają dużo, ale takie wszystko inne niż u nas, a takie słone i pieprzne, że nieraz w gardle drapie.

Możecie sobie wyobrazić, jak po takim obiedzie pragnienie nas trapi. Ciągłe wołamy: wody, wody! Francuzi i belgijczycy zapijają wino, Niemcy piwo, Anglicy i jedno i drugie, a nam polskim dzieci przecież tego pić nie uchodzi.

W końcu oczywiście wynalazła tu mamusia jakąś wodę stołową, miejscowego wyrobu, ale prawie bez gazu; podają zawsze ciepłą i kosztuje butelka przeszło 2 złote na nasze pieniądze. Oj, wody, wody naszej polskiej zdrojowej!

A gorąco tu mamy czasami także, że aż piasek w nogi parzy. Morze wtedy jest bardzo spokojne, ale tak jęczy jak gdyby się skarżyło na jakiś ból wewnętrzny. Pewnie, że tam na dnie jego głębin wiele smutków się rozgrywa. Tam tyle miliardów istot żyjących, co i na powierzchni ziemi.

Morze jest ciekawe, to prawda, ale takie jednostajne.

Tęsknimy do zieleni i zapachu naszych pól, łąk i lasów.

Wczorej mamusia zaprowadziła nas za djuny (osypiska z piasku) Zobaczyliśmy wielką równinę usianą kępami niziutkich białych domków murowanych, w które których zielenią się drzewka i krzewy.

To fermy tak gęsto przy sobie budowane. Każdy właściciel posiada nie więcej nad 2 do 6 ciu mórg ziemi. A ma na swym kawałku wszystko: jarzyny, zboże, kwiaty, owoce...

Wewnątrz domku bardzo czysto i zamożnie. Lud tutejszy mówi tylko po normandzku, to też ledwie na migi rozmówić się z nimi można.

Sprzedali nam świeżego mleka i kilka „pistoletów” czyli bułek pszennych. Zasiadliśmy sobie na łączce pod drzewem. Było miło, ale to zupełnie nie to, co u nas. Drzewa małe, karłowate, jednostajne, a wszystkie pochylone w jedną stronę od morza. Podobno to jest wskutek wiatrów zawsze silniejszych z morza, niż z lądu.

Łąki pachną jakby tyśiącznikiem. A trawka mała, niska, prawie bez kwiecica.

Wieczorami bywa tutaj czasami bardzo piękne zjawisko, zwane fosforycencją morza. Fale morskie zupełnie się palą precudownym zielono-niebieskim światłem. Jakby lampy opalowe, które się rozplývają po fali, niktą i znów wypływają, posuwając się szeroką linią wzdłuż brzegu.

Są to miljarady żyjątek, podobnych do naszych świętojańskich robaczków, ale znacznie mniejszych, bo niewidzialnych dla oka. Dopiero pod mnioskopem można je obserwować.

Prosililiśmy mamusi, żebyśmy już nigdy więcej nie wyjeżdżali z kraju, bo u nas najładniej i najlepiej.

Przesyłamy wam serdeczne pozdrowienia i naszym lasom kochanym.

Marynia Wielkopolanka.

Na zbożnych polach.

Na zbożnych polach kłaniają się żyta,
i ciężkie kłosa schylają ku ziemi,
A w nich smugami ciemno błękitnymi,
Fala modraków młodzieńczych wykwita.

Gdzieniegdzie krasne maki się kołyszają,
Lub kółko głowę przechyli ciekawie,
A biały powój co pełza po trawie,
Drzemie słoneczną upojony ciszą.

Zagrały świerszcze i gamą radosną,
Płyną ich głosy ponad ciche niwy,

I ptak gdzieś ćwierka swobodny, szczęśliwy,
I mchy splecione po wybrzeżach rosną.

Idą spokojne po polach powiewy,
Przedziwną wonią ziemia przesiąknęła,
Oto już jedna zbożna niwa zżęta,
Plon w słońcu dojrzał, choć w łąkach były siewy.

Tym co Twe dary zbierają w pokorze,
Nie szcędząc pracy, ani rąk i trudu,
Tej niezliczonej rzeszy twego ludu,
We łąkach i szczęściu błogostaw o Boże!

Marja Poraska.

Wielogłowi bogowie słowiańscy.

PERUN (Perunit).

Najstarszym bóstwem słowiańszczyzny był Perun (polski Piorun, litewski Perkunas, łotyski Perkous) bóg błyskawic i grzmotów, bali go się bardzo, bo był straszny, zabijał i palił ogniem z nieba zsyłanym.

— Perun się gniewa — mówiono, gdy huczała burza i wtedy modlono się, aby go przebłagać, aby uprosić pogodę...

Ale Perun i dobrym i litościwym też bywał, ciepłem ogrzewał, deszczem użyźniał ziemię, grzmotami ją wzruszał, czyniąc pulchniejszą i urodzajniejszą, a burzą oczyszczał powietrze; tym sposobem dopomagał roślinności, przyczyniał się do wzrostu zbóż; był zatem w wielu razach prawdziwie dobroczynnym.

Czczono go na Pomorzu, w Kijowie, w Nowogrodzie i w wielu innych ziemiach słowiańskich, gdzie miał swoje świątynie i posągi. Ofiary składano mu w gajach poświęconych.

W mitologii litewskiej zajmował Perkunas pierwsze miejsce.

Zdaje się, że u Pomorzan Perun zlał się w jedno ze Światowidem bo i znaczenie podobne przypisywano temu i temu, i w potęgach ich było nieco podobieństwa.

Niby potomkiem Peruna był Perunit, mający na barkach cztery głowy, a na piersiach pięć, oznaczającą narodzenie się czyli powrót słońca.

TRYGŁAW.

Było to bardzo poważne bóstwo odbierające cześć w wielu ziemiach słowiańskich. Na Pomorzu w Szczecinie miał bóg ten na wysokiej górze wspaniałą świątynię, ozdobioną wewnątrz i zewnątrz malowidłami przedstawiającymi ludzi, ptaki, zwierzęta i różne figury.

W świątyni tej znajdowały się dwa posągi tego bóstwa, mniejszy zrobiony był z prawdziwego złota, kapłani wielce go czcili, większy drewniany miał trzy srebrne głowy, które oznaczały, iż był on opiekunem trzech królestw: ziemskiego, niebieskiego i piekielnego. Złota zasłona okrywała mu oczy i usta, a to dla tego żeby udawał, iż grzechów ludzkich nie widzi i nie chce o nich wiedzieć.

Trygław podobnie jak Światowid otrzymywał ofiary i dary: znoszono mu złote puhary, kosztowne rogi do picia z nich, a także do trąbienia, dalej kopje, noże, drogocenne naczynia i t. d. Bożek ten miał także swego konia, ale nie białego jak Światowid, a czarnego t. j. ciemnokarego, dla którego wisiało zawsze na ścianie świątyni bardzo kosztowne siodło ozdobione srebrem i złotem.

Była też tu wyrocznia do której często się udawano w ważnych sprawach osobistych lub państwowych.

NIGDY!!!

28)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

Zatarł ręce, zwołał radę najznakomitszych dowódców rosyjskich i pruskich i rzekł:

— Nie możemy czekać dłużej! ten wilk żarłoczny wyćwiczy swoich młokosów, może nadciągnąć więcej Polaków, sam ks. Józef Poniatowski, który się go tak uparcie trzyma i mogą niespodzianie napaść nas.

I powiódł okiem po zgromadzonych.

— Tak, tak to wszystko być może! — zawołali dowódcy jednogłośnie.

— Więc według mego zdania nie czekając, trzeba z korsykaninem rozpocząć bitwę — mówił dalej głównodowodzący.

Obecni na znak zgody pochylili głowy. I nie czekając ponieśli do swoich pułków rozkazy Wittgensteina.

Dnia 1 maja zachodzące słońce stanęło krwawą kulą na horyzoncie i ozłociło

czerwono złotymi promieniami okoliczne wzgórza.

Wojska rosyjskie i pruskie uderzyły na nieprzygotowane do bitwy szeregi Napoleona.

Były w obszernych wąwozach wśród wzgórz okalających Lützen w Saksonii na drodze do Lipska. Wojska napadające miały nietylko przewagę wyćwiczonego żołnierza, ale i to, że znały doskonale kraj, wszystkie przejścia między wzgórzami, a jako napadające wybrały miejscowość najbardziej na stoczenie bitwy podatną.

— Diable! — zgrzytnął Napoleon, ujrzawszy wojska nieprzyjacielskie szykujące się do bitwy.

Działa nieprzyjacielskie zagrały, błysk ich szedł w zawody z gasnącymi promieniami

słońca. Kule wyrzucane z ręcznej broni latały jak czarne ptaki. Jedna z nich ugodziła marszałka francuskiego Bessieres. Padł na miejscu. Ludzie padali jak liście jesienne.

Napoleon zgrzytnął, zębami rzucając wciąż przekleństwa. Wreszcie wdrapał się śpiesznie na wysokie wzgórze, siadł na przyprowadzonego mu konia, przyłożył lunetę do oczu i chwilę przyglądał się okolicy.

Przednie jego szeregi zderzyły się już z nieprzyjacielskimi.

Władca nagle zawołał:

— Chłapowski!

Adjutant Chłapowski stanął przy nim.

Napoleon wskazywał mu rozmaite miejscowości wśród wąwozów, ten patrzył pilnie wreszcie zniknął z nadzwyczajną szybkością, niosąc rozkazy.

A z ust wielkiego władcy padały wciąż imiona:

— Książę Eugeniusz!

— Marszałek Marmont!

— Jen. Bertrand!

Otaczający roznosili rozkazy według adresu z piorunującą szybkością.

Wreszcie wskazał na wieś rozciągającą się na prawo.

— Jak się nazywa? — zapytał najbliższej stojącego.

Ten badając już poprzednio mapę, odrzekł.

— Wieś Kaja.

— Dobrze! — zawołał władca.

Uśmiechnął się nawet.

Marszałek Ney wieś zajmował.

Chłapowski tymczasem po rozesłaniu rozkazów władcy, stanął na czele swego szwadronu i strzegł prawego skrzydła.

Napoleon śledził najmniejsze poruszenia przez lunetę, rozsyłając wciąż rozkazy.

Nagle zmarszczył brwi.

Na wchodzącego Neya ze zbieraniną najmłodszego żołnierza uderzyły z całą gwałtownością szeregi prusko-rosyjskie.

Kociaki nieprzygotowane do walki, rzucały broń i opuszczały plac boju.

Wschodzące słońce dnia 2 maja 1813 r. poglądało ze zdziwieniem na pole zasłane błyszczącą w jego promieniach bronią, na kałuże krwi i kąpiących się w niej kociaków; kociaków, którzy nie zdołali umknąć.

Wtedy władca po nieprzespanej nocy, nie pomny na wszelkie niebezpieczeństwo, zmienił konia i jakby znał najdokładniej ścieżynę, zbiegł ze wzgórza.

W pół godziny stanął na drodze wiodącej do wsi Kaja. Skinął na szwadron Chłapowskiego i zastąpił drogę uciekającym kociakom.

Ukazanie się cesarza opamiętało ich.

Przeszywający wzrok Napoleona groźniejszym był bodaj od kul nieprzyjacielskich.

Stanęli jak skamieniali, w szeregach.

Artylerja nadchodziła.

W serca wstępowała otucha.

Napoleon broń na wieś kazał kierować.

— Nie strzelać! — nagle zawołał. — I z dobytą szpadą mając po jednej stronie pluton Chłapowskiego, po drugiej jen: Jerzmanowskiego rzucił się naprzód.

Wieś poddała się bez wystrzału.

Poddała się urokowi potęgi zdobywcy.

Wjeżdżał rzucając wzrokiem, czy nie znajdzie kogo ze starszyzny wojsk przeciw niemu sprzymierzonych.

Nikogo ze znaczniejszych.

Pole tylko było zasłane trupami.

Francuzi, prusacy, rosjanie leżeli charcząc w ostatnim konaniu.

Często w objęciach jeden drugiego.

Śmierć połączyła nieprzyjaciół jednym uściskiem.

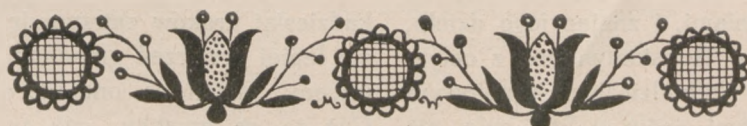
Noc czarna, bezgwiezdna okryła wszystkich swym płaszczem.

Jeszcze pierwsze brzaski nie zdołały przedrzeć ciemności, gdy już roznoszono rozkazy władcy.

Lefèbre dowiedziawszy się od schwytanego pruskiego żołnierza, że nieprzyjaciel jest blisko, rozkazał gotować się do walki.

Nadjechał na to Napoleon.

d. c. n.



STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

28)

Czy te ostatnie przymioty psa tureckiego uczyniły go tak drogim dla turka, powiedzieć z pewnością niepodobna, choć jeżeli, dzięki jemu właśnie, może on być spokojnym o swoje skarby i wdzięcznym mu zawsze pozostać powinien.

I jest też wdzięcznym, i patrząc, jaką troskliwą otacza go w domu i na ulicy opieką, jak go karmi i poi, i to nie tylko odpadkami ze swego stołu, i uważa za swojego towarzysza i niemal przyjaciela, trudno przypuścić, aby, jak Czyhaczew utrzymuje, znikł on kiedy z ulic Konstantynopola i miast Wschodu, razem z barbarzyństwem, z jakim się teraz tam spotykamy.

Chyba nie. Barbarzyństwo zniknie, jak znikło z powierzchni Serbji, Bośni, Hercegowiny i Bułgarji, bo to jest nieuniknionym następstwem rozkładu Turcji, będącej w Europie anachronizmem i dziwolągiem; ale pies w obszarach ziem, na których się ona rozpościera, pozostanie, jak pozostał dotąd w nietureckim dziś Belgradzie i miastach chrześcijańskich półwyspu Bałkańskiego.

Jaka uwaga nasuwa się patrzącemu na te gromady psów na ulicach Konstantynopola?

Oto, że muszą one chyba być nawiedzane perjdycznie klęską wścieklizny, i że ta klęska w ich szeregach szerzy straszne spustoszenia.

Wielkie gorąco, niezliczona ich liczba, niedostatek wody, wszystko przemawia za tem, że tak być musi, i umysł przejmuję przerażeniem.

Tymczasem tak nie jest.

Wścieklizna jest nieznaną nad Żłotym Rogiem i na Wschodzie.

— Mogę zapewnić — powiada tenże autor — że podczas mego pobytu w Konstantynopolu, i moich licznych wycieczek do wszystkich części Azji Mniejszej i wielu okolic Syrii i Egiptu, nie byłem ani razu świadkiem wypadku tej choroby. Prawda, że nieraz mówiono mi o psach wściekłych, ale uważne zbadanie symptomatów, a nadewszystko następstw pokąsań, przekonywały mnie o zupełnie przeciwnem. Kapitan Slade podobną opinię wypowiada o Rumelji i twierdzi, że w Turcji, jak tylko pies pokąsa kilku ludzi lub zwierząt, natychmiast uważają go tam za wściekłego. Kiedy p. Slade znajdował się w Rodosto, pies szalony pogryzł kolejno starą turczynkę, kupca niemieckiego nazwiskiem Snell, dwie krowy i osła, co spowodowało, że powstała pogłoska, iż pies wściekły stał się sprawcą mnogich ofiar. Otóż p. Slade wkrótce się przekonał o tem, że nikt z ludzi ani pokąsanych zwierząt nie zapadł ciężiej na zdrowiu“.

Tyle w tym względzie powiada uczonego ten pisarz, który Wschód cały zbadał naukowo i zapoznał się ze wszystkimi jego właściwościami, i znając jego dzieło, zanim jeszcze nawiedziliśmy Konstantynopol, z całym spokojem krążyliśmy przy kilkudziesięciostopniowym upale między temi legionami psów w Stambule, nie dziwiąc się wcale, że nie ustępowano im tam z drogi,

gdy nieraz biegły środkiem ulic, z okiem błędnem, i wszystkimi zewnętrznymi oznakami wścieklizny.

Czyżby ta straszna choroba omijała je na Wschodzie, jako nagroda właśnie za te usługi, jakie oddają zazdrosnym o kobiety turkom?

Tę pajęczą sieć zaniedbania widzi się nie tylko, gdy się w towarzystwie niezliczonych gromad psów zwiedza resztki dawnego Bizancjum, na którego ruinach rozsiadł się Seraj, pozostawiwszy Hippodrom grecki ze starymi jego kolumnami, w stanie, który już o przyszłości jego raz na zawsze przesądził: jadę powoli wzdłuż Stambułu, by przyjrzeć się uważnie „Murom“, okalającym go od strony lądu, i powiadam do siebie, że widać ją tu wyraźnie wszędzie.

Wszędzie, z wyjątkiem meczetów i grobowców sułtańskich.

Właśnie dopiero co wybiła godzina 7 rano, kiedy pod bramę hotelu francuskiego na Perze, który od tygodnia już zajmowałem, podjechały dwa osiodłane konie, a na jednym z nich mój nieodstępny po Konstantynopolu przewodnik.

„*Very fine weather, Sir*“ (bardzo „piękne powietrze, panie) — oto były słowa, jakimi mnie wesoło powitał, gdym wychylił się z bramy hotelu, rad niezmiernie, że przyjrzymy się słynnym „Murom“ i sporemu kawałkowi okolic Stambułu, przy sprzyjających atmosferycznych warunkach.

Spojrzałem do góry i przekonałem się, że istotnie było piękne powietrze. A nie była to, w chwili kiedy na mego konia wsiadałem, rzecz bagatelna. Kto chce przyjrzeć się dobrze „Murom“, ten może to dokładnie wykonać, jadąc nie inaczej, tylko konno; gdy więc ta podróż trwa zazwyczaj około siedmiu godzin, a na całej długiej tej drodze niema żadnego wygodnego schronienia, pojąć łatwo, że przy niepewnym powietrzu albo się na wycieczkę tę wcale nie wybiera, albo też z psującą dobry humor obawą zmoknięcia do suchej nitki. My tej obawy nie doświadczyliśmy, słońce przyświecało ziemi wesoło i pogodnie, a kiedy, znalazłszy się na moście, rzuciliśmy okiem na Żłoty Róg, przedstawił nam się, jako tafla lustrzana, nie poruszana powiewem najłżejszego nawet zefiru. Więc ożywiał nas humor jak najlepszy, mimo, że to, co wchodziło nam w oczy po drodze, niekoniecznie wesołe myśli powinno było budzić.

To *cos* było to właśnie tą pajęczą siecią zaniedbania, zawieszoną nad całym Stambulem!

Jadę umyślnie dłuższą drogą, jadę powoli, co kilkadziesiąt kroków zatrzymuję mego wierzchowca, aby się lepiej przyjrzeć gmachom, jakie zabudowują ulice, ulicom, jakich są one nie ozdobą, lecz oszpeceniem. Cóż to za gmachy, cóż to za pomysły budownicze.

Pozostawiam na stronie „Seraskierat“ i „Wysoką

Portę", dwie budowle, wydzielające się jedynie w tej powodzi nie domów, lecz komórek, i zwracam me oczy już wyłącznie na te komórki.

Nie dlatego przecież, aby przedstawiały jakikolwiek interes, ale, że zwędrowawszy tyle stron różnych, nie spotkałem się z podobnemi nigdzie.

Bo, że w nich ludzie mieszkają, o tem się wie, gdyż innych mieszkań nie widać nigdzie, ale jak mieszkają, jest to prawdziwą dla mnie zagadką.

Nizkie to, wąskie i niezdarne, pełne przystawek i krytych daszkami balkoników, wygląda tak krucho, że kiedy się temu przygląda, myśli się o tem, rychło też to wszystko uprzątniętem zostanie, by ustąpić miejsca czemuś trwałemu, noszącemu w sobie zarodki długiego i zdrowego życia.

I przypominają się te prowizoryczne drewniane mosty, jakie inżynierja, wyciągając na rzekach żelazne, tymczasowo dla transportu stawia, i chciałoby się doczekać tej chwili, gdy nareszcie, jako już niepotrzebne, ulegną rozbiórce, podstawiając w swoje miejsce takie, do jakich przywykło w Europie nasze oko. A tymczasem chwila ta nie nadchodzi, tymczasowość gdzieindziej, zdaje się tu być wiecznością, i wiecznością rzeczywiście jest, gdyż ci, którzy tu dach nad głowami mają, hojnie szafując groszem na Domy Boże, na doczesne swoje mieszkania skąpią wydatków.

Więc choć pożary pustoszą ten Stambuł niezmiernie często, choć niezdarne turecka straż bezpieczeństwa, w chwili kiedy ogień wybuchnie nie jest w stanie przeszkodzić, by jego pastwą nie stały się całe dzielnice — po przejściu klęski z popiołów powstaje on zawsze, nie jako miasto, mogące się w przyszłości oprzeć skuteczniej niszczącej jego sile, ale jak dokładna kopja tego samego miasta, które stało się dopiero co jego ofiarą, ze wszystkimi słabemi stronami, dzięki którym wczoraj jeszcze ofiara ta spotkała się z tak smutnym losem.

I gdy w Perze po pójściu z dymem domu drewnianego zazwyczaj dzwigniętym zostaje nowy murywany, tu w większości wypadków dotknięty pogorzelał turek kleci sobie nowe mieszkanie z takiego samego materiału, z jakiego miał dawne, i dobrze jeszcze, jeżeli nie opiera nowego sufitu na niespalonych doszczę-

tnie starych belkach! Śmiech doprawdy bierze, kiedy się przygląda straży ogniowej w Konstantynopolu, jest ona bowiem parodją ogniowych straży.

Na tej wysokiej wieży Seraskieratu, ze szczytu której Moltke zdejmował kiedyś plan stolicy Turcji, usadowili się ci, którzy pilnują by tylokrotnie nawiedzany ogniem

Stambuł nie stał się jednym wielkiem pogorzeliiskiem.

Ale cóż z tego, kiedy skoro pożar wysledzą, nie mogą posłać do walki z nim zorganizowanych, jak w całej Europie, szeregowców, ale coś w rodzaju ochotników, atakujących go bez rozumnego planu.

Kiedy więc chwila niebezpieczeństwa nadejdzie, chwytają oni przybory do

gaszenia ognia na ramiona, biegną z niemi co sił starczy na miejsce katastrofy, i... podoba się Ałlachowi, to się kończy na kilkunastu domach a nie, to zamieniają się w zgliszcza całe przedmieścia.

Tak było tu już nieraz, tak nieraz jeszcze będzie i gdy poradzić na to nic nie można, żaluje się tego tylko, że nieszczęście nie jest tu, jak gdzieindziej lekcją przeczności, że ten Stambuł, po największym nawet pożarze, powstaje wprawdzie zawsze niby feniks z popiołów, ale podobnie niedołączny i bez warunków długiego życia, jak ten, który poszedł z dymem.

I łagodna, i sroga nauka iść musi zawsze w ką, gdy ma do czynienia z uczniem, który, jak wyznawca wiary fatalizmu, przyjmuje ją z pogardy obojętnością.

Podczas pobytu naszego nad Złotym Rogiem, raz jeden tylko byliśmy świadkami pożaru.

Z niewiadomej przyczyny wszczął się w Ejubie pożar, gdzie się w tym czasie, powracając ze „Słodkich wód Europy“, znajdowaliśmy, i gdyby nie deszcz ulewny, zaznaczyłby się najniezawodniej groźnie w kronikach tego przedmieścia, Szczyściem deszcz upadł, skończyło się zatem na starych komórkach, bez przerażenia przecież o rozliwych jego następstwach myśleć nie mogliśmy, ile, że tuż przy nich ciągnęła się cała dzielnica z drzewa.

A podnosiło jeszcze grozę ognia, że do walki z nim nie wystąpił tam nikt. Na wieży Seraskieratu widziano go najniezawodniej, widziano i na Galacie, pocieszano się przecież tem, że deszcz pada, i ratu-



Cmentarz turecki.

nek zdano na niebo. I niebo też odpowiedziało godnie położonemu w niem zaufaniu, uratowało Ejub. Ale nikt w Ejubie nie zdaje się myśleć o tem, co się z nim stanie, gdy zaufaniu położony tam będzie kres.

Prawdopodobnie to, co się stało nieraz w podobnym wypadku w Konstantynopolu, pozostanie po nim kupa gruzów i popiołów.

A potem?

Potem znowu, jak grzyby po deszczu, ujrzymy w tem samym miejscu takie same domy, pastwę niezawodną przyszłych płomieni, i tak w kółko, póki narzecie w tym uroczym, lecz opuszczonym zakątku światła, nieunikniony najazd obcy nie zaprowadzi porządków, niemożliwiających raz na zawsze stan, na który obecnie ze zgrozą spoglądamy.

Teofil Gautier opowiada, że w czasie, gdy gościł w Konstantynopolu, było tam w jednym tygodniu aż czternaście pożarów. Alarmowany bezustanku, niejednokrotnie biegł na miejsce wypadku. Niech nikt nie myśli przecież, aby był choć raz jeden świadkiem rozpaczy i w ogóle scen rozdzierających serce. Przeciwnie, miał przed oczami taki sam spokój, jaki zadziwiał nas i budował pod pewnym względem, gdyśmy się przechadzali po ruinach Bazaru.

Opisuje więc, że zaledwie ugaszono ogień, który pochłonął mienie setek rodzin, na gorących jeszcze i dymiących szczątkach ich domostw widział zawsze dawnych ich właścicieli, zajętych kleczeniem nowych schronień. W jednym miejscu gromadka turków z fatalizmem wschodnim, nie bacząc na niedopalone głównie, ćmiła fajki, w innym, w resztkach kawiarni obdzielano dawnych jej gości ugotowaną na zgliszczach kawą.

I dodaje:

„Nie dostrzegłem nigdzie grup zrozpaczonych, z jakimi spotykałoby się we Francji na ruinach wioski, albo spalonego przedmieścia; *być spalonym w Konstantynopolu jest rzeczą bardzo pospolitą.*“

Ale dajmy już pożarom spokój, bo oto dojeżdżamy do miejsca, gdzie rozpoczynają się słynne „Mury“.

Przystajemy przed nędznym domem zajezdnym, by dozwolić wypocząć koniom, sami zaś wstępujemy do kawiarni tureckiej na filiżankę czarnej kawy.

Przyrządza ją stary turek i, wlewając w maleńkie naczynka, częstuje nią zgromadzonych gości.

A tych gości jest bardzo wielu. Turcy, grecy armeńczy, mała gromadka turystów angielskich, których konie wierzchowe posilają się również w stajni, wreszcie my przed chwilą tu przybyli.

Rozeznają to wszystko dopiero po kilkominutowym pobycie w stacji, dym bowiem, wydobywający się z pieca i z fajek, zrazu pogrążył jej wnętrze w zupełnej ciemności.

Kiedy na Wschodzie spotyka się gdziekolwiek kilku Europejczków, uważa ich się od razu jako starych i dobrych znajomych. Przysiadłem się więc do nich i, patrząc na pijących kawę, ubranych w kostjumy orjentalne, udzielaliśmy sobie wzajemnie naszych uwag i spostrzeżeń.

A było ich po jednej i po drugiej stronie sporo, moi Anglicy zwędrowali całą Azję mniejszą, *nie w jednej więc kawiarni mahometańskiej kawę pili.* Przeciież wstępowali do każdej niemal po drodze, w każdej nieledwie bowiem znajdowali coś oryginalnego.

Kawiarnia turecka różni się zupełnie od kawiarni w Europie. Pomijam te, z jakimi spotykamy się w Perze, jako utrzymywane przez cudzoziemców, i urządzone na sposób cudzoziemski, i twierdząc tak, mam na myśli jedynie kawiarnie, gdzie rolę *kafedżiich* pełnią wyznawcy wiary Proroka. W Galacie i Topkanie jest ich wiele, ale główne ich siedlisko — to Sztambuł i Ejub. Tam więc iść należy, kiedy się chce zabrać z nimi znajomość, tam, gdy się pragnie skosztować kawy, jakiej u nas nie dostanie nigdzie.

Bo przedewszystkiem ta kawa:

Jest czarna, gęsta i dziwnie aromatyczna.

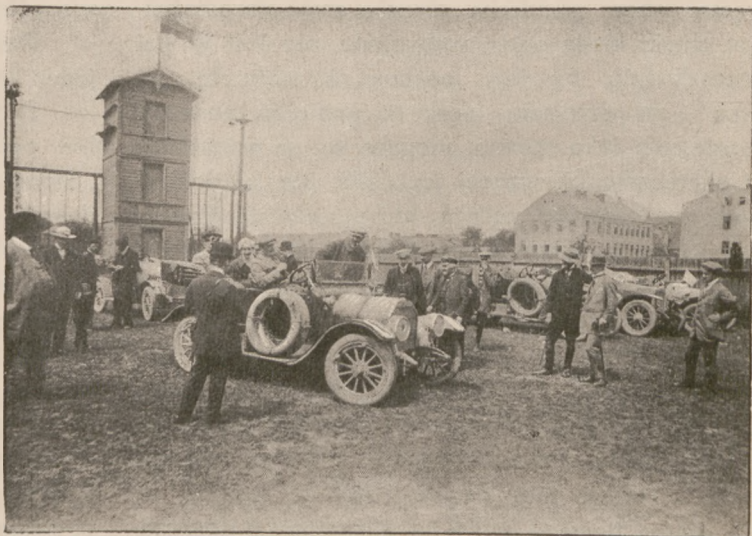
Wlewają ją do miniaturowych filiżanek i silnie osłodzoną podają w stanie wrzącym.

d. c. n.

Próba samochodów.

Parę tygodni temu odbyła się pierwsza w Królestwie próba wytrzymałości samochodów, w wyścigu bowiem, który nazwano z angielska „raidem“, nie szło o nadzwyczajną szybkość, lecz o sprawność maszyny w kilkodniowej podróży. Ponieważ nie mamy ani jednej krajowej fabryki samochodów, zatem popisywały się maszyny cudzoziemskie, przyczem pokazało się, że najodpowiedniejsze dla naszych dróg są samochody francuskie.

Podajemy obok fotografię ścigających się samochodów na postoju w Radomiu.



KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.

M. G.

17)

— Nie śpię od kilku godzin — mówił dalej Jerzy, zwracając się do pana Teodora — patrzę i podziwiam! Widziałem, że pański statek wznosił się w górę, jak pająk, wspinający się po pajęczynie i widziałem jak się opierał nawałnicy i zdumiewałem się, że tak utrzymuje równowagę!

— Tam na dole załogi węglarek, dziwią się pewnie tak samo, i ludność nadbrzeżna również — odrzekł pan Teodor, napozór chłodno, choć lekki rumieniec zdradzał, że pochlebia mu zapał chłopców. — Bierzcie się teraz do jedzenia a potem... zobaczycie dużo ciekawych rzeczy... Ted, przed tobą stoi słoni na i jaja...

Gdy skończyło się śniadanie, pan Teodor zabrał głos.

— Chcę wam objaśnić, niektóre szczegóły budowy „Upiora“ — zaczął. — Ma on sto pięćdziesiąt stóp długości, osiemdziesiąt pięć szerokości od końca do końca skrzydeł. Zbudowany jest cały z mieszaniny mojego wynalazku. Motor jego ma siłę czterystu koni, a niekiedy natężenie tej siły bywa jeszcze większe. Weźcie teraz czapki i chodźcie za mną.

Niepodobna opowiadać szczegółowo o cudownej budowie samolotu, nad którym Jerzy unosił się z zachwytem; jedno tylko trzeba nadmienić, że na każdym kroku uderzała prostota pomysłu.

Statek powietrzny składał się z dwóch wspinających rur, z nieznanego metalu; jedna zwężała się stopniowo na jednym końcu, stanowiącym ogon samolotu, a na drugim końcu, przy głowie zwężona była raptownie; druga rura spłaszczona od góry ku dołowi, z frontu i z tyłu zakończona była ostrym kantem. Ten spłaszczony członek latawcowego ciała, krzyżował się z dłuższą okrągłą rurą, pod kątem prostym, jakby był do niej umocowany na zawiasach.

Jerzy zauważył, że gdy statek płynie przez powietrze, najłżejsza zmiana w położeniu rur wywołuje zmianę lotu, to podnosząc go w górę, to zniżając ku ziemi. Rury te wspinały się na listwach srebrzystego metalu, a te listwy stanowiły podstawę ścian i przedziałów, w których mieściły się kabiny, warsztaty, galerje i maszyny.

Jedna galerja biegła wzdłuż całego statku, i na nią wychodziły liczne drzwiczki ściśle pozamykane i zaryglowane.

— Ażeby nikt nie mógł nas podglądać — objaśnił krótko pan Teodor. — Ale wam, jako zaufanym gościom, pozwolę tam rzucić okiem. Nasadźcie dobrze czapki i trzymajcie się mocno poręczy...

Odsunął zasuwę na jednym otworze, ukazał się wtedy ciemny tunel, w którego głębi błyskało światło elektrycznej lampki odbite od oddalonej ściany.

— Oto jedna z tajemnic budowy „Upiora“ — powiedział pan Teodor z dumą. — Przez ten kanał przechodzi wiatr. I gdyby, który z was tam wpadł, wir

powietrza porwałby go w mgnieniu oka. Słyszycie jak wiatr ryczy w jego wnętrzu?

— A! I on to wprowadza w ruch ten statek? — wykrzyknął Jerzy zdumiony.

— Właśnie. Tunel przechodzi wzdłuż samolotu, a dwanaście odpowiednich przyrządów wtłacza powietrze i przepędza je przez całą długość statku. od dzioba do samego końca. Powietrze wtłoczone przy wejściu i gnane z coraz większą szybkością, wylatuje przez otwór na tyle statku z taką siłą, że statek pędzi zupełnie jak pocisk. Teraz chodźmy do innej galerji.

Weszli do galerji umieszczonej w poprzecznej, spłaszczonej rurze, tworzącej skrzydła samolotu. Na końcu każdego skrzydła, były ściśle zamknięte drzwi, których pan Teodor nie kwapił się otworzyć. Za temi to drzwiami, kryła się tajemnica „Upiora“!... Odzywał się tam monotonny stuk maszyn, które kierowały ruchami samolotu, podnosząc go jak ptaka do góry, lub trzymając nieruchomo zawieszzonego w powietrzu.

— Teraz pokażę wam pilota, czuwającego nad naszym bezpieczeństwem — odezwał się pan Teodor, gdy powrócili na znajomy już pokład z kratowaną podłogą. — Niepotrzeba upominać was, iż niewolno z nim rozmawiać, bo Sing Loo jest w takich razach głuchoniemy.

Po kilku wygodnych schodach weszli do okrągłej kajuty z niskim, okrągłym jak kopuła sklepieniem. Podobne to było do minaturowej morskiej latarni, naokoło oszklonej. Z kopuły, umieszczonej na grzbiecie samolotu, można było ogarnąć jego całość od końca do końca skrzydeł, od głowy do ogona, i cały kraj leżący w dole. Dla ułatwienia obserwacji pod samolotem, urządzone był rodzaj periskopu. Tarcza z tego samego lśniącego metalu, wisząca przed niewzruszonym Sing-Loo, odbijała w sobie zmniejszony obraz wzburzonego morza, czarnych węglarek, miotających się na kotwicy i portu z podrygującymi statkami, a dalej domów nad przystanią, poszarpanych wybrzeży i skalistych raf przysłoniętych mgłą i deszczem.

— Nasza camera obscura — objaśnił pan Teodor. — Bez tego przyrządu, groziłoby nam niebezpieczeństwo uderzenia o ziemię przy opuszczaniu się, ale w nim odbija się tak wyraźnie wszystko, że strażnikowi wystarcza proste dotknięcie drążków dla skierowania samolotu.

Przed Sing Loo, sterczały trzy, błyszczące rękojeście, ale zdawało się, że on ich nie widzi wpatrzony w odległą przestrzeń, w której może poza zamglonem niebem Europy, rysowały mu się słoneczne wybrzeża rzeki Pei-Ho, nad którą stoi fanza jego ojca...

Ale kto kiedy odgadnie myśli chińczyka?

Martwe oblicze synów tej wschodniej krainy, jest maską, pod którą kryje się niejedno, co wartoby poznać. Głupcy tylko chyba mogą lekceważyć chińczyków...

— Ależ on zdaje się zupełnie nie zwraca uwagi na maszynerję! — wykrzyknął Jerzy zdumiony! — Widziałem już nieraz samoloty w ruchu, ale pilot zawsze trzymał się gorączkowo rękojeści, od której życie jego zawisło. Dziś szaleje huragan a jednak...

— Nic nie wpływa na mój samolot — dokończył pan Teodor, uśmiechając się zagadkowo, jak zwykle. — Nie chciałbym być posądzony o przechwałki, ale trzeba rachować się z faktami. Otóż nie ulega wątpliwości, że mój statek, gdy jest w powietrzu, nie potrzebuje ręki pilota, albowiem cała tajemnica jego bezpieczeństwa polega na tem, że zatrzymuje on równowagę automatycznie. Jeżeli wiatr uderzy w niego z jednej strony, zagrażając jego równowadze, uderzenie to wprawia w ruch przyrząd przeciwdziałający dla utrzymania równowagi. Samolot przechyla się gwałtownie i odzyskuje pierwotne położenie; sternik nie potrzebuje tego pilnować.

Jerzy słuchał, otworzywszy szeroko oczy i usta.

Pan Teodor spojrzał na niego i roześmiał się serdecznie.

— Oto chłopiec w moim guście! — zawołał, klepiąc go po ramieniu. — Takiemu nie żal powiedzieć coś więcej i uchylić różek zasłony! Widziałeś statek od jednego końca do drugiego? Powiedz, czy jego budowa nie jest prosta?

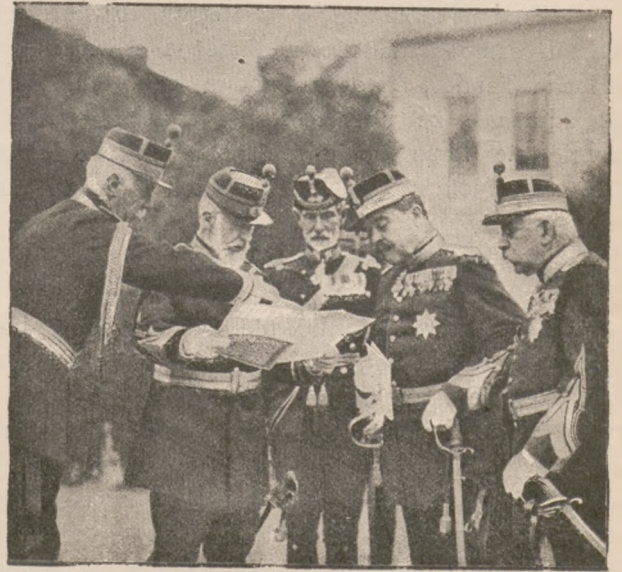
— Tak, a jednak...

— Zaczekaj chwilę i posłuchaj. W owych czasach gdy ludzie, mieszkający w jaskiniach, zapragnęli ulepszyć swoje mieszkania, pierwszy dom, który zbudowali, był tylko szafasem z gałęzi i liści. Cofnij się teraz myślą do pierwszych czasów lokomotywy i pierwszej maszyny z dzisiejszymi lewiantanami, z ich siłą i wielkością.

d. c. r.

Wojna na Bałkanach.

Zdawało się już, że okropna wojna bałkańska została ukończona wraz z pobiciem Turcji. Okazuje się jednak, że była to dopiero pierwsza część krwawych wypadków, bo oto teraz rozszalała się wojna jeszcze straszniejsza. Biją się ze sobą dawni sojusznicy o podział zdobytych na Turcji ziem. Do walk



wmieszała się Rumunja, która dotychczas zachowywała zupełną bezstronność, oraz Turcja pragnąca choć trochę dawnych posiadłości i nieco wpływu na politykę.

Na załączonej fotografii widzimy króla rumuńskiego Karola, w otoczeniu naczelników generałów, przeglądającego mapy przed wyruszeniem na wyprawę.

Gry sportowe na powietrzu.

ODBIJANKA.

(BĘBENKI).

Liczba bawiących się 2 — 12. Boisko: wolna przestrzeń, mająca kształt kwadratu lub koła, którego średnica wynosi 40 kroków.

Przybory: tyle bębenków ilu jest bawiących się; bębenek składa się z drewnianej, 5 cm. szerokiej obręczy o średnicy 20—25 cm. na której jest rozpięta błona z silnej skóry owczej; jeden elastyczny balonik o średnicy 5.5 cm.

Bębenek trzyma się w ten sposób, że duży palec i brzusiec dużego palca spoczywają na obręczy wzdłuż tego brzegu, do którego jest przymocowana błona; cztery inne palce, obejmując wolny brzeg obręczy, przyciskają ją do dużego palca i do jego brzusca.

Bębenkiem podbija się balonik w dwojaki sposób: albo o kończynie wyprostowanej, lecz nie sztywnej, podbija się z dołu ku górze i wprzód, albo przez szybkie wyprostowanie skurczonej kończyny w kierunku ku górze i wprzód.

Ustawienie i przebieg zabawy. Przy małej liczbie ustawiają się uczestnicy zabawy naprzeciw siebie, przy większej zaś tworzą koło, zwracając się twarzą do środka. Jeden z bawiących się staje w środku koła i podrzuca balonik ręką w górę, następnie zaś, gdy balonik spada, podbija go bębenkiem ku stojącym na obwodzie koła. Od tej chwili każdy, znajdujący się na obwodzie, stara się podbić bębenkiem balonik, spadający po jego prawej ręce, aby go jak najdłużej utrzymać w powietrzu, podczas gdy stojący w środku ma niedopuszczyć, aby balonik spadł na ziemię w środku koła.

Powyższą zabawę należy uważać jako ćwiczenie się w podbijaniu balonika, przyczem dla uniknięcia jednostronnego ćwiczenia prawej kończyny powinno się podbijać także lewą ręką. Przy podbijaniu lewą ręką stojący na obwodzie koła podbijają balonik, spadający po ich lewej stronie. Gdy bawiący się nabędą pewnej wprawy w podbijaniu balonika, wówczas mogą przystąpić do gry.

PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 13)

Muzyka zagrała przygrywkę, pary zaczęły się ustawiać.

Ostatnia przybiegła z garderoby pani mecenasowa Wańska.

I ona już podała ramię swemu danserowi i stanęła w szeregu, gdy nagle podniósłszy rękę pod szyję zauważyła brak broszki.

Zwróciła się do swego tancerza.

— Proszę pana zostawiłam w garderobie pod lustrem złotą broszkę wysadzaną djamencikami. Może pan będzie łaskaw przynieść mi ją!

— Z rozkoszą!

I uprzejmy danser w podskokach przebiegł salon, zabawił chwilę i... powrócił.

— Tam nie ma broszki nigdzie. Może tutaj pani gdzie wypadła!

— Ależ nie! Pamiętam dobrze, odpięłam ją i położyłam pod lustrem, muzyka zagrała i wybiegłam z garderoby zapominając o niej. E, musiał pan źle szukać! Pójdę sama!

I poszła.

Wchodząc do garderoby zobaczyła jak z niej wychodził Barański.

Daremnie jednak szukała, broszki nie było nigdzie!

Tymczasem w salonie rozeszła się już wieść o zgubie. Kilku z panów i pań pobiegło do garderoby dopomódz pani Wańskiej w poszukiwaniach, reszta przeszukiwała salon.

Broszki nie było nigdzie.

Stary Kaznikiewicz pytał służby, czy które zguby nie znalazło. Nie! Żadne też w tym czasie kiedy broszka mogła zginąć nie było ani w salonie, ani w garderobie.

— Tak jest! Ja sam wiem, że żadne z nich nie mogło być w tym czasie w garderobie kręciłem się bowiem po korytarzu. Widziałem tylko jak z garderoby wychodził Barański — poświadczył Romek.

— Pana Barańskiego spotkałam rzeczywiście w garderobie, gdy poszedłem pierwszy raz po broszkę. Pamagał mi jej nawet szukać!

— Tak! I ja spotkałam tego pana wchodząc do garderoby! — dodała pani Wańska.

— Byłem w garderobie, pani Kaznikiewiczowa bowiem, kazała mi tam zanieść poduszczkę ze szpilkami, które mogły się paniom przydać! — potwierdził Janek.

Ani nawet przez myśl nie przeszło Jankowi, aby ktoś mógł sobie tłumaczyć zaginięcie broszki obecnością jego w garderobie.

Jak syk węża zabrzmiała mu też w uszach słowa młodego Kaznikiewicza.

— Nie mamy się więc co trudzić szukaniem broszki. Ponieważ nikogo w garderobie nie było tylko

pan Barański, on nam może najlepiej wytłumaczy tę zagadkę!

Śmiałe te słowa z widoczną intencją wypowiedziane zelektryzowały wszystkich.

Ojciec zbliżył się żywo do syna:

— Jakto? Więc ty posądzasz Janka o...

— Nie posądzam nikogo! Ale sam tatko przyzna, że dziwnie ta broszka zginęła. Nikogo w garderobie nie było tylko Barański i nagle broszka ginie. Ja myślę, że gdybyśmy przepatrzyli kuferek tego pana, od którego klucz zawsze nosi w kieszeni, broszka by się znalazła!

Janek słuchał, słyszał, rozumiał, a zdawało mu się, że nie rozumie.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

Pod wpływem tych spojrzeń, to bladł, to czerwieniał, nie sięgnął jednak do kieszeni po klucz tylko zacisnął rękę, aż mu palce w stawach zatrzęszczały.

Złowroga cisza panowała w pokoju.

Ciszę te przerwał znowu młody Kaznikiewicz:

— Słuchajno ulubieńcze wszystkich, nie udawaj bałwana, tylko daj klucz od kufra, a rękę, że broszka się tam znajdzie!

Barański zachwiał się na nogach.

Teraz zrozumiał jasno, że Kaznikiewicz posądza jego o kradzież broszki.

— Podły jesteś!

— Nie unoś się, tylko daj klucz!

Janek zacisnął zęby, wyjął klucz i podał dyrektorowi, ten w milczeniu klucz odebrał i odemknął kufer.

Wszyscy nachylili się ciekawie.

Na samym wierzchu leżała złota broszka, a djamenciki złośliwie błyski rzucały w oko.

— Jak wytłumaczysz skąd się tutaj ta broszka wzięła? — zapytał Romek.

— Nie wiem. Doprawdy nie wiem! — bąknął Janek z przerażeniem spoglądając na wszystkich.

Twarze przed chwilą tak uprzejme dla niego, obecnie były zimne i nielitościwe.

Powoli wysuwali się wszyscy.

Pozostał tylko w pokoiku stary Kaznikiewicz, Romek i Barański.

Ten ostatni tak był zmieniony, że dyrektora liłość zebrała:

— Czy zawsze nosisz klucz od kufra w kieszeni?

— Zawsze!

— I nikt nie mógł się dostać do kufra bez ciebie?

— Nie!

Zapomniał biedaczysko, że kiedy już zaczęto szukać broszki, Romek podał mu kluczyk mówiąc, że takowy znalazł na korytarzu.

— Po co więc zabierałeś tę broszkę?

— Sam nie wiem jak to się stało, ale na to przysiędz mogę, że broszki nie zabierałem, ani też jej do kufra nie chowałem!



Benie drogi, szkoda czasu na tworzenie poezji, lepiej oddaj się wypoczynkowi wakacyjnemu, żeby na rok przyszedł nie było znowu: nd. i to w dodatku z polskiego...

Wiadomość ta, chłopcze, zmartwiła mię bardzo, gdyż niedostateczne postępy w przedmiocie dla Polaka najważniejszym, są bardzo smutnem o nim świadectwem i nie dają dobrych na przyszłość nadziei. Myślę tylko, że to ten przykry wypadek ze zwknięciem nogi i przerwą w nauce przyczynił się do złej cenzury, że teraz, po wakacjach zdwoisz pracę i pilność — prawda chłopcze? Pocziesz więc w następnym liście „Przyjaciółkę“ wiadomością, żeś już zdrowy zupełnie, wypoczywasz należycie i myślisz o naprawie złego.

Szurotka pragnie bliższego poznania, a nie lubi pisać nie zgadza się to jakoś jedno z drugim, zwłaszcza, że czternasty rok pragnie już zawierać przyjaźń z piórem. Prawda, że ty za to lubisz rysunki i malarstwo, ale mam nadzieję, że teraz i korespondencję polubisz, tembardziej, że listy swe będziesz mogła ozdabiać malowidłami.

Halinka bawi się na wsi doskonale, a ulubioną jej zabawą jest piłka, lub piasek, który wciąż taczka mi rozwozi i grabi; dziękuje ci ona za pamięć i buziaka, wywdzięczając się serdecznym całusem.

Wiersz *Jana Topora*, choć nacechowany jest podniosłem uczuciem, do druku się jednak dla różnych, poważnych braków nie nadaje. Dział „Sami Sobie“ aczkolwiek nie pomieszcza arcydzieł, ani nawet utworów bez małych usterek, nie może jednak dopuszczać rzeczy nieudatnych, bądź pod względem myśli, bądź formy.

Jakże dobrą jest *Ta Sama*, że pierwszą wolną chwilę obróciła na napisanie listu do „Przyjaciółki“! Nie rozumiem tylko, dlaczego list ten doszedł mi z takim opóźnieniem, wskutek czego na odpowiedź tak długo musiałas czekać.

Winszuję ci więc serdecznie promocji i dziękuję za miłuchny widoczek, tem miłszy, że przez ciebie wykonany. Zupełnie podzielał twój gust, kochanko, w upodobaniu do starych budowli, a szczególnie takich zakątków i radabym go kiedy ujrzeć w naturze.

Wyobrażam sobie, jak rajsco teraz musisz czas wakacyjny spędzać, jak używasz wiejskich rozrywek i przyjemności, a to zbieranie minerałów jest przeszłicznem zajęciem, gdyż zabawa połączona z nauką. Pragnąc należy, by wszystka młodzież w okresie wakacyjnym umiała łączyć przyjemne z pożytecznym, Za ofiarę na ochronkę: „Bóg zapłać!“

Najlepiej przeproszeniem, kochana *Kózko*, jest w tym razie list, a zresztą „Przyjaciółka“ za milczenie nigdy się nie gniewa, tylko naturalnie, korespondentka stała miłszą jest, gdyż lepiej się znamy; ty zaś, choć pisujesz rzadko, należysz przecież do grona tych miłszych, stałych korespondentek i myślałam o tobie nieraz.

Ładne masz stopnie, dziewczeczko, tylko czemuś nie podała stopni z języka polskiego? Wyraz: „francuski“ pisze się tak, jak widzisz, nie przez „zs“.

Na przyobiecana fotografię czekam, sprawi mi ona dużą przyjemność, gdyż choć z portretu poznam tę kochaną *Kózko*, która pewnie teraz u babci swawoli wesoło... Niech swawoli, niech się bawi, czeka ją przecie w drugiej klasie poważna już praca.

Maryehno droga, obce mi są zupełnie kosmetyczne zabiegi, więc i tą „upragnioną“ radą służyć ci nie mogę; zresztą, czyż opalenizna to zmartwienie? Młodsza moja siostrzyczka, ja, nie mówiąc już o Halince, opalone jesteśmy, jak cyganki, gdyż nawet kapeluszy na wsi nie używamy, a jednak bynajmniej nas to nie trapi. Słyszałam wszakże, że mycie twarzy zsiadłem mlekiem usuwa opaleniznę, spróbuj tego środka może cię zadowolni. Na inne dolegliwości i wady cery zwróć się do specjalisty.

I *Lilipucik* trafił do „Przyjaciółki“!

Chodźże chłopczku, chodź do mej gromadki, bo brak w niej właśnie takich sześciolletnich zuchów, których listy, choć ołówkiem, pisane są starannie i zajmująco.

To nic, *Lilipuciku*, żeś taki mały, iż pięć lat dają ci najwyżej, przyjdzie czas, że urośniesz, utyjesz i będziesz wyglądał na swój wiek, tymczasem gimnastykuj się, graj ze starszym bratem w palanta, gdyż takie gry i zabawy pomagają do wzrostu i zdrowia.

Tak, te kolorowe szkiełka są bardzo interesujące, ja również niegdyś lubiłam przez nie patrzeć na świat, który wydawał mi się wówczas jak z bajki, a bańki mydlane bawiły mnie nie mniej od ciebie.

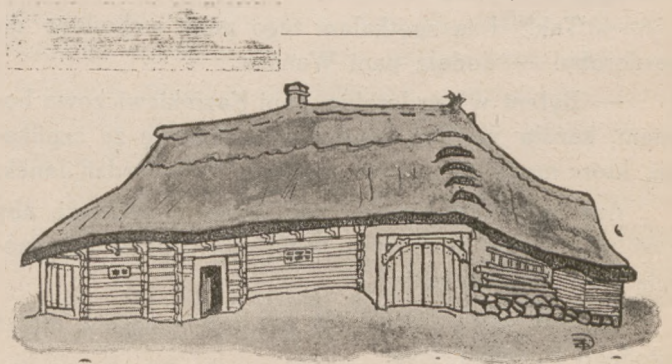
Halinka dziękuje ci za miłą niespodziankę i mówi, że również pragnie poznać Lilipucika, któremu tak smutno bez siostrzyczki.

Pani Bron. w Kl. Niezawodnie, że dotąd często tak bywa, ale wina to błędnego wychowywania całego szeregu pokoleń, i nie znaczy, by z czasem stosunki nie ułożyły się inaczej, a przyszłość taka wcale nie jest daleka, wyższe kształcenie kobiet musi bowiem wejść w program nieodzownej nauki i żywiły choćby najbardziej konserwatywne z faktem tym liczyć i pogodzić się muszą.

Dobrze, *Gospośiu*, hodowla drobiu jest jedną z najważniejszych części kobiecego gospodarstwa, samaś się o tem przekonała, mogąc w krytycznej chwili przyjść owej osobie z prawdziwie „swoją“ pomocą, a zdarzenie to wpłynęło na zachęcenie cię do zupełnie poważnego traktowania kurek i indyczek, z czego bardzo się cieszę i żadaną informacją służę:

1) Pytania wszystkie skierować bezpośrednio do pani Heleny Paderewskiej, 2) adres: Riend-Bosson, Morges, Suisse. 3) Opłata miesięczna 70 franków, nauka bezpłatna, ale naturalnie grosz jakiś na nieprzewidziane wypadki trzeba posiadać.

Przyjaciółka.



Chata krakowska.

Związek dziecięcy.

Stowarzyszenie pań katolickich w Zakopanem powzięło myśl założenia Związku t. zw. abstynenckiego wyłącznie między dziećmi i urządziły w r. 1912 pierwsze zebranie, wezwawszy do współdziałania młode pokolenie całego kraju. Po zapisaniu się bardzo chętnym, na członków i dwumiesięcznej próbie, dziesiątka składa w kościele uroczyste przyrzeczenie tej treści: „Z miłości ku Panu Bogu, dla zdrowia mego, dla szczęścia rodziny i narodu mojego, ślubuję, iż do 14-go roku życia żadnych trunków używać nie będę“. Postanowiwszy raz należeć do Związku, dzieci, nawet wcale nieoświecone, góralskie, obowiązki pełnią ściśle i sumiennie, a umacnia je w tem co miesiąc zwoływane zgromadzenie, którego głównym celem jest pogadanka o szkodliwości alkoholu na organizm ludzki. Objaśniają małych słuchaczy, oprócz żywego słowa, tablice przedstawiające złe skutki pijaństwa dla zdrowia i duszy człowieka. Prócz tego Stowarzyszenie dostarcza członkom gazetkę p. t. „Nasz Przewodnik“, wydawaną przez ks. Szumana w Poznaniu, która liczy już 8,000 prenumeratorów, i utworzyło kasę oszczędności. Za własne lub od rodziców podarowane pieniądze każdy członek kupuje znaczki po 10 halerzy, wlepia do specjalnej książeczki i odsyła ją do banku. Tym sposobem złożonych zostało w kasie zakopiańskiej od 1-go stycznia 1913 r. 128 koron, przez 103 chłopców (działwy ogółem należy 280). Aby dzieci przywiązać do podjętego zadania rozdaje się odznaki, dyplomy, a gdy fundusze złożone wystarczą, mają otrzymać swój abstynencki sztandar z odpowiednimi godłami. Jak dalece ta zbożna praca przynosi pożytek, świadczą cyfry statystyki szkolnej. Jeszcze w miesiącu maju r. b., na 65 uczniów 2-jej klasy (ze szkoły ludowej, rozumie się) 50 piło wódkę na czczo, jak śniadanie, w klasie 3-jej zaś, gdzie należą do Związku Anioła Stróża, pięcioro tylko z liczby 96-u nadużywało trunków. Sfera inteligentna nie potrzebuje zapewne uciekać się do tych wszystkich środków, ale niech rozciąga opiekę nad młodszą bracią, której bodziec moralny jest w życiu niezbędnym, a usiłowania w tym kierunku wydadzą błogosławione owoce.

Bohaterka.

Głównodowodzącym armją północno-wschodnią we Francji mianowano obecnie generała Pau. Rząd francuski, chcąc przeprowadzić nowe prawo obowiązkowej dla wojskowych służby trzyletniej, stara się umieszczać na stanowiskach naczelnych, ludzi nie tylko wypróbowanego męstwa i dzielności, ale przeważnie takich, którzy posiadają rzetelne zasługi i wielką popularność. Generał Pau, bijąc się jak lew w wojnie 1870 r. z Prusami, zdobył szlify kapitańskie i utracił prawe ramię; ma więc za sobą przeszłość chwalebną. Nieodstępną jego towarzyszką w owej nieszczęśliwej dla francuzów kampanji, była siostra, Marja Edme, młode dziewczę, której pamięć, niby legenda o świętych, pozostała w sercach ludzkich. Z zawodu malarzka, podpora starej matki, na pierwszą wieść o wybuchu wojny, wyruszyła z pułkiem brata na plac boju, dla pielęgnowania rannych. Przy czuwaniu nad chorymi w lazaretach przyszła jej do głowy myśl, jaką tylko dusze prawdziwie dobre powziąć mogą. Oto szkicowała portrety umierających, aby potem obdarzyć nimi zbolełe i osierocone rodziny. Gdy kapitan Pau został raniony, Marja, przeszukawszy wszystkie ambulanse, nawet niemieckie, dotarła do Bismarcka z prośbą o wolność brata, a ponieważ ten ostatni nie wypełnił warunku narzuconego, t. j. że złoży broń do końca wojny, umieściła go napowrót w szeregach obrońców kraju z temi słowy: „Dopóki ma się jeszcze głowę i choćby jedno ramię, należy ojczyźnie

służyć“. Następnie powróciła do matki, mieszkającej w Nancy. Obie kobiety długo i trwożnie oczekiwały na wieści o dzielnym żołnierzu, w końcu córka wybrała się pieszo z idącymi ku granicy oddziałami ochotników, aby odszukać zaginionego. Ślady jego znalazły się dopiero w Szwajcarii, ale powiedziano Marji, że porucznik Pau zmarł na ospę. Dzielna kobieta, nie dowierzając tej pogłosce, kazała grób otworzyć; istotnie, świeżo pochowany człowiek nie był jej bratem. Niestety, zarazki strasznej choroby udzieliły się wycieńczonemu nadmiernym trudem organizmowi i w kilka dni po zaspokojeniu matki o losy syna, Marja Edme wśród ciężkich cierpień zakończyła życie, poświęcone czynom miłosierdzia. Według ostatniego jej życzenia, złożono ją do ziemi w trumnie prostej; całun stanowiły barwy narodowe francuskie. Cała ludność Nancy, tłumy kalek i niedobitków armji, nawet załoga niemiecka — wojsko z oficerami tworzyło szpaler na ulicach — wszyscy oddali cześć zwłokom bohaterki.

Szarady i łamigłówki.

S Z A R A D A.

Ułożyła A. A.

Druga pierwsza, to zwierzę rogate i znane,
Druga trzecia w liczeniu często używane
Wszystko — znana miejscowość ma góry i skały,
A dokoła, gdzie spojrzysz — to widok wspaniały.

M E T A G R A M.

Ułożyła Czeremcha.

Przez *w*, naczynie, służy do kąpieli,
Przez *s*, używaj, gdy śnieg ziemię bieli,
Przez *p*, oznacza nazwę bardzo miłą,
Przez *m*, za pokarm służy i służyło,
A bez spółgłoski imię dobrze znane,
Dawniej i teraz często używane.

Rozwiązania szarad i łamigłówek zamieszczonych w № 29.

Rozwiązanie łamigłówki liczbowej.

51	110	125	135	72
107	121	96	114	62
68	118	100	83	131
139	86	103	79	93
128	85	76	89	142

Rozwiązanie przeplatanki literowej.

Rządź się rozumnie, sprawuj się pocziwie,
A w każdym stanie, możesz żyć szczęśliwie.

Rozwiązanie zadania arytmetycznego.

Ojciec ma lat 40, Helenka 8, Kazio 5.

Rozwiązanie zagadki.

C Z A S.

S	i	a	n	o
---	---	---	---	---

Dobre rozwiązanie *Zagadki literowej geograficznej* i *Szarady* zamieszczonej w № 28, nadesłał P. Bahan, Wiewseje, g. Suw.

W CUKIERNI.



— Powiedz mi pan, panie Rubelmacher co piszą wasze gazety o bojkocie.

Rubelmacher. — Oni już nic nie piszą, tylko płaczą co bez ten bojkot żydki muszą conajmniej połowę dobrych interesów z rąk wypuścić.

PRZYSŁUGA.

Do jednego ze słynnych kompozytorów francuskich początkujący muzyk przyniósł swój rękopis, jakiś poemat symfoniczny.

Niech pan siada do fortepianu — odzywa się mistrz — i zagra mi choć parę akordów. Jestem ogromnie zajęty.

— Ależ zdziwiony kolega pyta — ja wcale nie grywam, na żadnym instrumencie.

— To nic nie szkodzi. Proszę uderzyć jeden mocny akord.

Młody człowiek posłusznie brzęknął w klawisze.

— Bardzo panu dziękuję. To jest mój sposób

przywołania służącej. Co do pańskiego utworu, no... to zobaczymy.

PROTEKCJA.

— Przyszłam zobaczyć zaćmienie księżyca — mówi uprzejmie dama do astronoma — oto list mego krewnego, dyrektora tego obserwatorium.

— Niestety, proszę pani, zaćmienie skończyło się przed kwadransem.

— Hm sądzą, mój panie, że dla krewnej zwierchnika można je będzie powtórzyć.

U DENTYSTY.

Lekarz, wykwintnie wychowany, przyjmując pacjenta, który go odwiedza po raz pierwszy:

— Nazwisko pańskie nie jest mi obce. Miałem już przyjemność rwać zęby małżonce szanownego pana.

UZDOLNIENIE.

— Prosiłbym p. naczelnika o posadę konduktora na kolei.

— A jakież pan masz kwalifikacje po temu?

— Pracowałem przez lat kilka przy rybach. Pakowałem sardynki do pudełek.

POCHWAŁA.

— Szanowna pani raczyła odebrać zbiorów moich poezji, które ośmieliłem się jej postać?

— O tak! Słicznie panu dziękuję. Oddano mi go wieczorem, wczoraj i dopiero po przeczytaniu tych pięknych wierszy, mogłam nareszcie usnąć.

Do dzisiejszego numeru „Wieczorów Rodziny” dołączamy dodatek za miesiąc czerwiec p. t. „Stacho ze Słupi”, przez Marię Poraską.



PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA

NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi główkami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacji lnu.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

WAŻNE DLA MŁODZIEŻY!

NA FORTEPIANIE, SKRZYPCACH, CYTRZE,
GITARZE I MANDOLINIE,

uczę gruntownie i tanio.

Złota 26, m. 39.

!!! NA WARSZAWĘ I PROWINCJĘ!!!

Chrześcijańskie przedsiębiorstwo przebudowy i odnawiania domów, lokali, sklepów i t. p. na rozpłaty po cenach niepraktykowanie niskich. Roboty malarskie od najprostszych do najwykwintniejszych, wielki wybór tapet. Ceny fabryczne.

Ratowski i S-ka, Nowy-Świat 24, tel. 263-64